

„Gruba pałka”, Theodore Roosevelt i korzenie amerykańskiego imperializmu

14 września 2022

6 grudnia 1904 roku prezydent Stanów Zjednoczonych Theodore Roosevelt w dorocznym orędziu ogłosił nowe założenia amerykańskiej polityki zagranicznej. Na czym miała polegać „doktryna grubej pałki” i dlaczego Roosevelt ją forsował? Zapytaliśmy o to dr. Przemysław Piotra Damskiego, badacza stosunków amerykańsko-brytyjskich w tym czasie.

– Czym była „doktryna grubej pałki” ogłoszona przez Theodore’a Roosevelta 110 lat temu?

– W Polsce nieco niefortunnie przyjęło się używać terminu „doktryna grubej pałki” w odniesieniu do orędzia prezydenta Theodore’a Roosevelta z 6 grudnia 1904 r. Historycy amerykańscy częściej mówią o „rozszerzeniu” lub „uzupełnieniu” doktryny Monroego (Roosevelt Corollary), natomiast termin „gruba pałka” wiąże z typem polityki uprawianej przez 26. prezydenta (Big Stick Ideology). Określenie to nawiązuje do wypowiedzi Roosevelta: „Przemawiaj łagodnie, i noś ze sobą grubą pałkę, a zajdziesz daleko”. Jeśli chodzi o samą treść orędzia z 1904 r., to poruszało ono wiele istotnych dla rządu amerykańskiego kwestii. Problem polityki zagranicznej stanowił jedynie jego fragment i wcale nie największy, co było związane z tradycyjnie niechętnym w owym czasie stosunkiem ogółu Amerykanów do prowadzenia aktywnych działań międzynarodowych. Niemniej, w końcu XIX w. do głosu doszła wpływowa grupa imperialistów, do której zaliczał się i Roosevelt. W swym przemówieniu nawiązał on do doktryny Monroego, którą można streścić w stwierdzeniu, iż Stany Zjednoczone nie posiadają interesów w Europie, a Europa nie ma interesów w Nowym Świecie. Uzupełnienie doktryny polegało na tym, iż prezydent

przyznał swojemu krajowi prawo do interwencji w sprawy wewnętrzne innych państw amerykańskich, gdyby „ustawiczne złe działanie lub brak działania” mogło „skutkować rozpadem cywilizowanego społeczeństwa w Ameryce”. Oczywiście ryzyko oceniały Stany Zjednoczone.

– Dlaczego prezydent USA zdecydował się na taki kurs polityczny?

– Przyczyn decyzji Roosevelta jest kilka. Jeszcze w 1895 r. doszło do poważnego starcia interesów Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii w sprawie granicy między Wenezuelą a Gujaną, będącą wówczas kolonią brytyjską. Część historyków mówi nawet o groźbie wojny. Faktem jest jednak, że dokładne wytyczenie granicy gujańsko-wenezuelskiej rząd amerykański zinterpretował jako zagrożenie dla doktryny Monroego, czyli swoich interesów. Nie miało większego znaczenia, że interesy amerykańskie były wówczas zdecydowanie skromniejsze od brytyjskich, jeszcze mniejsze zaś to, że słuszność znajdowała się po stronie Londynu, a doktryna Monroego nie była zagrożona. USA potrzebowały silnej manifestacji politycznej, która wzmacniałaby ich rolę w Zachodniej Hemisferze. Trzy lata później USA pod pozorem obrony Kubańczyków toczyły zwycięską wojnę z Hiszpanią. Z kolei w latach 1902-1903 pomogły w zażegnaniu II kryzysu wenezuelskiego, w który zaangażowane były Wielka Brytania, Niemcy i Włochy. W samym 1904 r. uchroniły zaś Republikę Dominikany przed interwencją europejską przeprowadzając na jej terenie własną akcję. Widać zatem, że w ostatniej dekadzie XIX stulecia Stany Zjednoczone zaczęły odgrywać rolę swego rodzaju obrońcy państw amerykańskich przed zakusami Europy. W owym czasie była to atrakcyjna oferta dla Ameryki łacińskiej – potężnie zadłużonej w Europie i nie mogącej spłacić swych wierzycieli. Właśnie z powodu zadłużeń Europa decydowała się na stosowanie tzw. „środków przymusu”. Ani Wielka Brytania, ani Francja nie dążyły do zwiększania swego terytorialnego władztwa w Ameryce łacińskiej, gdyż kontrola finansowa była wystarczająca. Nawet

Niemcy miały ograniczone zakusy względem Nowego Świata. Dominacja kapitału europejskiego w Ameryce łacińskiej była jednak solą w oku Stanów Zjednoczonych, które prowadziły własną ekspansję gospodarczą. Poza tym silne wpływy ekonomiczne Europy budziły obawę, że kiedyś mogą być one wykorzystane politycznie. W dodatku Amerykanie, choć zainteresowani Europą, w zasadzie byli jej niechętni lub w najlepszym razie nieufni wobec niej. Ogłaszając swe uzupełnienie do doktryny Monroego, Roosevelt liczył zatem przede wszystkim na wzmocnienie roli USA w regionie i osłabienie Europy. Należy tu jednak dodać, że orędzie zostało ogłoszone po tym, jak Wielka Brytania, tj. największa potęga kolonialna ówczesnego świata oraz państwo o największych obok Stanów Zjednoczonych wpływach w Zachodniej Hemisferze, zdecydowała o wycofaniu się z aktywnej polityki w tym rejonie. Roosevelt dostrzegając zatem, że nie ma już liczącego się konkurenta, gładko ustawił USA w roli hegemonu.

– Jak te założenia mieściły się w ogólnej polityce zagranicznej Roosevelt i USA tamtej epoki?

– W kwestiach polityki zagranicznej Roosevelt był przede wszystkim imperialistą, co nie stanowiło zasadniczego wyłomu od ówczesnych standardów międzynarodowych. Przełom XIX i XX w. to tzw. okres „nowego imperializmu”, szczytu rywalizacji, która znalazła swój finał w Wielkiej Wojnie 1914-1918. Można zatem stwierdzić, że w tym ujęciu polityka 26. prezydenta nie odbiegała w swych założeniach od tej prowadzonej przez inne państwa. Jeśli jednak spojrzymy na okres urzędowania Roosevelta, tj. lata 1901-1909, w kategoriach amerykańskich, to tutaj różnica jest zasadnicza. Choć etap imperialny zaczął się dla USA jeszcze za czasu prezydentury Williama McKinleya, tj. poprzednika Roosevelta, to 26. prezydent dokonał zasadniczej reorientacji. Z jednej strony, podobnie jak McKinley, był aktywny w Ameryce łacińskiej. Namacalnym dowodem jest nie tylko jego rola we wspomnianych wcześniej wydarzeniach czy ogłoszeniu uzupełnienia do doktryny Monroego,

ale też oderwanie Panamy od Kolumbii i rozpoczęcie budowy Kanału Panamskiego, co sam uważał za swe największe osiągnięcie. Prezydent był także aktywny poza Zachodnią Hemisferą. Za jego prezydentury USA w o wiele większym stopniu zaangażowały się w Azji. Było to zasługą Johna Haya, który pełnił urząd Sekretarza Stanu, tj. szefa amerykańskiej dyplomacji, zarówno w okresie rządów McKinleya jak i Roosevelta. Sam prezydent zaś silnie zaangażował się w proces pokojowy w obliczu wojny rosyjsko-japońskiej, co przyniosło mu Pokojową Nagrodę Nobla. Był tym samym pierwszym prezydentem USA, którego wyróżniono w ten sposób. Zauważa się też ironię tej sytuacji, Roosevelt był bowiem zagorzałym militarystą. Twierdził jednak, i to pozostaje w zgodzie z założeniami „polityki grubej pałki”, że potencjał militarny ma służyć odstraszeniu, podnoszeniu prestiżu oraz obronie, a nie wojnie napastniczej. Nie oznacza to jednak, że zawsze stosował się do tych założeń: Kolumbia w 1904 r. nie stanowiła żadnego zagrożenia militarnego dla USA, a jej jedyną przewiną była odmowa skrajnie niekorzystnych warunków budowy kanału w Panamie, którą narzucił jej Waszyngton. Prawdziwą rewolucją w polityce amerykańskiej było aktywne zaangażowanie się Roosevelta w sprawy Europy. Bardzo znacząca była tu jego rola w zażegnaniu I kryzysu marokańskiego z lat 1905-1906. Z kolei w 1907 r. delegacja amerykańska bardzo aktywnie włączyła się w obrady II konferencji haskiej, na której udało jej się przeforsować, jako prawo międzynarodowe, zmodyfikowaną wersję doktryny Drago chroniącej państwa zadłużone przed zbrojną interwencją wierzycieli. Następca Roosevelta w Białym Domu, William Howard Taft, o ile aktywny w Ameryce łacińskiej i Azji, pozostawał w dużej mierze bierny względem spraw europejskich. Widać zatem swego rodzaju wyjątkowość polityki Rooseveltowskiej.

– Pierwszy z Rooseveltów w Białym Domu ma opinię jednego z wybitniejszych polityków amerykańskich. Czy zgodzisz się z tą opinią?

– Chyba nie będę w tej kwestii oryginalny, jeśli powiem, że w pełni ją podzielam. Z wieloma aspektami polityki Roosevelta, tak wewnętrznej jak i zewnętrznej, można się nie zgadzać, jednak bilans, z punktu widzenia interesów amerykańskich, jest dodatni. Za jego rządów USA istotnie zyskały na znaczeniu międzynarodowym – oczywiście nie tylko, jak sugerują pewni historycy, w wyniku talentów 26. prezydenta. Niektóre przedsięwzięcia były możliwe dlatego, że inne mocarstwa po prostu pozwoliły Stanom Zjednoczonym wzmocnić ich pozycję. Zabiegając o poparcie lub sympatię Amerykanów Wielka Brytania, Niemcy czy Francja niejednokrotnie same wycofywały się z pewnych działań nim Waszyngton zdążył się zdenerwować. Roosevelt miał jednak na tyle rozsądku, że umiejętnie wykorzystał sytuację. Jego wyjątkowość nie ograniczała się jednak do polityki zagranicznej. Należy pamiętać, że to on był jednym z inspiratorów polityki antytrustowej wymuszającej większą konkurencję podmiotów na rynku amerykańskim. Również on jest uważany za pierwszego prezydenta „progresistę”, popierającego ograniczone reformy społeczne. To on przeforsował prawo o tworzeniu parków narodowych i rezerwatów przyrody. Poza tym ma swoje miejsce w amerykańskiej legendzie: brał udział jako ochotnik w wojnie hiszpańsko-amerykańskiej, prowadził ranczo w Dakocie, co przysporzyło mu sławy kowboja, choć był rodowitym nowojorczykiem. Trafił także do popkultury: jego podobizna widnieje wykuta w Mount Rushmore obok Waszyngtona, Jeffersona i Lincolna, a pluszowy miś ([Teddy Bear]) to zabawka nazwana na jego cześć. Pojawiał się jako bohater w różnych filmach, od „Kronik młodego Indiany Jonesa” przez kolejne części „Nocy w muzeum”. Jeszcze częściej się o nim wspomina; ostatnio chociażby w popularnym serialu „Jak poznałem waszą matkę”. Nie dziwi zatem, że prezydent George W. Bush przyznał mu pośmiertnie Medal Honoru, tj. najwyższe amerykańskie odznaczenie wojskowe. O legendach i anegdotach związanych z Rooseveltem można rozmawiać godzinami. Z reguły mają one pozytywny wydźwięk. Można zaryzykować tezę, że był on uosobieniem Amerykanów, a ze swym moralizatorskim zacięciem również ich sumieniem. Nawet lansowany przez siebie

amerykański nacjonalizm określał on mianem amerykanizmu. Nie dziwi zatem szczególna atencja jaką darzą go Amerykanie. W rankingu z 1983 r. sporządzonym przez Roberta Murraya dla „Journal of American History” wśród 864 amerykańskich historyków Roosevelt znalazł się na 5 miejscu najwybitniejszych prezydentów. Sklasyfikowano jako pierwszego z „prawie wielkich”. Wyprzedzili go jedynie czterej „wielcy” prezydenci – Abraham Lincoln, Franklin D. Roosevelt, Jerzy Waszyngton i Thomas Jefferson.

– W swojej książce pt. „Najbliższe narody” opisujesz stosunki USA i Wielkiej Brytanii na początku XX wieku. Czy to wtedy narodziła się polityczna przyjaźń między dawną metropolią i kolonią? Co było głównym wątkiem stosunków obydwu państw w tym okresie?

– Po rewolucji amerykańskiej oraz tzw. „drugiej wojnie o niepodległość” relacje dyplomatyczne między obu państwami były ambiwalentne i nieraz nacechowane ignorancją. O ile jest to względnie zrozumiałe w przypadku Wielkiej Brytanii, to w kontekście USA nasuwa pewną wątpliwość. Duża część amerykańskich rodów politycznych miała korzenie brytyjskie. Ta swoista arystokracja amerykańska szczyciła i szczyci się posiadaniem przodków, którzy przybili do Nowego Świata na pokładzie Mayflower. Nie da się również zaprzeczyć, że kultura amerykańska, choć oryginalna, bazowała i bazuje na angielskiej. A jednak obojętność polityczna była faktem. Z czasem przerodziła się wręcz w agresję, której finałem był wspomniany I kryzys wenezuelski z 1895 r. Jeden z amerykańskich historyków stwierdził nawet, że Wielka Brytania odgrywała w „demonologii” amerykańskiej taką samą rolę jak Niemcy we francuskiej czy Rosja w brytyjskiej. To oznacza, że ideologicznie Albion był definiowany jako największy wróg i to pomimo poprawnych stosunków dyplomatycznych. Związane jest to nie tylko z dwiema wojnami w końcu XVIII i na początku XIX w., jakie oba państwa ze sobą toczyły. Istotne znaczenie miał tu fakt, że Wielka Brytania była najważniejszym rywalem USA w

Zachodniej Hemisferze. Nie wolno również zapominać, że w drugiej połowie XIX w. szczególny wpływ na mentalność i politykę amerykańską uzyskała koncepcja Objawionego Przeznaczenia (Manifest Destiny) oraz doktryna Monroego, która od swego ogłoszenia w 1823 r. aż po zakończenie wojny secesyjnej nie była jakoś szczególnie podkreślana. Jeden z amerykańskich historyków stwierdził wręcz, że ogół Amerykanów jeszcze w końcu XIX w. nie miał pojęcia czym ta doktryna jest. Obraz ten kłóci się z naszym wyobrażeniem dzisiejszych stosunków obu państw anglojęzycznych, uchodzących za najbliższych partnerów. Kiedy zaszła zatem zmiana? Początku należy szukać w stosunku Wielkiej Brytanii do wojny amerykańsko-hiszpańskiej. Przyjęta wówczas polityka przyjaznej Amerykanom neutralność zasadniczo zmieniła sytuację. Nawet Roosevelt, uchodzący wcześniej za anglofoba, zmienił w tym czasie swe zdanie o Albionie. Zapoczątkowało to okres tzw. „wielkiego zbliżenia” (Great Rapprochement). Zaczął się on przed urzędowaniem Roosevelta i trwał po nim. Niemniej Roosevelt stał się jego katalizatorem. To wówczas rozwiązano najwięcej problemów istniejących między obu państwami, przy czym to nie Amerykanie, lecz Brytyjczycy zainicjowali i byli głównymi animatorami „wielkiego zbliżenia”. Z trzech rządów brytyjskich funkcjonujących w dobie prezydentury Roosevelta jeden był konserwatywny a dwa liberalne, wszystkie jednak popierały proamerykańską politykę. Co ciekawe, to nie Partia Liberalna, tradycyjnie uchodząca za pro-amerykańską, lecz koalicja konserwatywno-unionistyczna wzięła na siebie ciężar pierwszych rozmów. Było to możliwe, gdyż znalazły się w jej łonie osoby uchodzące za amerykanofilów, jak Joseph Chamberlain czy Arthur Balfour. Były też inne sprzyjające czynniki – bliskie kontakty Roosevelta z dyplomatami i politykami brytyjskimi, czy kwestie kulturalne a nawet rasowe. Problem jest jednak złożony i odsyłam tu do książki, w której zajmuję się nim bardziej szczegółowo.

– Jak w praktyce wyglądała realizacja „doktryny grubej pałki”?

– Rooseveltowskie uzupełnienie doktryny Monroe'a oraz polityka „grubej pałki” polegały na prowadzeniu zdecydowanej polityki zagranicznej, choć w stosunku do mocarstw europejskich nie tak agresywnej jak się to czasem sugeruje. Mimo swego temperamentu i kowbojskich manier 26. prezydent był rozsądny i starał się nie nadwierać stosunków USA z Europą, choć nie zawsze grał czysto: za przykład uchodzi tu wyznaczenie stronnich reprezentantów w sporze Stanów Zjednoczonych z Kanadą. Mimo to nie przekraczał akceptowanych granic. Inaczej prezentowała się sprawa Ameryki Łacińskiej, gdzie arbitralnie ustalano czy w danym państwie istnieje zagrożenie dla porządku. Najczęściej owo zagrożenie było interpretowane po prostu jako konflikt z interesami amerykańskimi (politycznymi i gospodarczymi). Na Rooseveltowskie uzupełnienie powoływano się przy okazji interwencji na Kubie (1906-1909) czy w Nikaragui (1909-1910), gdy popierano rebeliantów przeciw prezydentowi. Korzystali z niej i jego następcy interweniujący na Haiti i w Republice Dominikany (1915-1934 oraz 1916-1924). Z czasem wizerunek USA ucierpiał i prezydenci zaczęli zastanawiać się nad odwrotem od Rooseveltowskiego uzupełnienia doktryny Monroe'a – jego krewny, Franklin Delano Roosevelt, zaczął lansować politykę „dobrego sąsiedztwa”.

– Czy patrząc na historię stosunków międzynarodowych w całym XX wieku, deklaracja Theodore'a Roosevelta ukształtowała amerykańską politykę zagraniczną, kładąc podwaliny pod zjawisko znane do dzisiaj – Stany Zjednoczone jako światowy policjant?

– Między konceptem międzynarodowego policjanta wyrażonym przez Theodore'a Roosevelta w orędziu z 1904 r. a ideą czterech policjantów Franklina Delano Roosevelta istnieją pewne podobieństwa. W obu przypadkach zakładano, że USA nie byłyby jedynym policjantem, ale w gruncie rzeczy byłyby odpowiedzialne za Zachodnią Hemisferę traktowaną jako ich strefa wpływów. Nie byłaby to zresztą pierwsza inspiracja FDR krewnym. Osławiony New Deal nawiązywał nazwą do gospodarczego

programu Theodore'a Roosevelta Square Deal. W tym zakresie można zatem mówić o pewnej inspiracji. Pamiętajmy również, że USA, nawet pomimo dużej aktywności Theodore'a Roosevelta na arenie międzynarodowej, raczej niechętnie uczestniczyły w wydarzeniach poza Zachodnią Hemisferą. Aby usprawiedliwić aktywną politykę azjatycką próbowano np. rozciągnąć na ten kontynent właśnie pojęcie Zachodniej Hemisfery. Zapomina się dziś, patrząc na obecną pozycję i działalność amerykańską, że aż do początków zimnej wojny USA niechętnie włączały się w konflikty międzynarodowe oraz w sytuację europejską. Do obu wojen światowych włączały się niejako przymuszone. Odbudowa zniszczeń w Europie oraz zadłużenie państw europejskich zmusiły je też do aktywniejszej roli na Starym Kontynencie. Dopiero zimna wojna spowodowała istotne zmiany w amerykańskim myśleniu o polityce zagranicznej. Porównanie wygląda zatem bardzo kusząco i łatwo dopatrywać się analogii. Przestrzegalbym jednak przed szukaniem ciągłości. Następca Roosevelta zamiast roli policjanta, choć powoływał się na nią, realizował politykę „dyplomacji dolarowej”. Nawet kolejny prezydent Thomas Woodrow Wilson był tu bardziej obrońcą interesów amerykańskich niż prawa międzynarodowego. Jego rola dyplomatyczna zmieniła się dopiero w wyniku konferencji paryskiej. Pamiętajmy również, że obaj Rooseveltowie ogłaszali swe koncepcje w zupełnie innych warunkach geopolitycznych. Należałoby zatem stwierdzić, że podobieństwa owszem istnieją, jednak nie upatrywał bym podwalin pozycji amerykańskiej w samym rozszerzeniu doktryny Monroego, lecz w całościowej polityce USA dobrego Roosevelta. Polityce, która po zakończeniu jego prezydentury została w dużej mierze na blisko dekadę porzucona.

Z dr. Przemysławem Piotrem Damskim rozmawiał Tomasz Leszkowicz

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)